

ROK 2  
—  
NUMER 3  
—  
MARZEC  
1947

# DROGA

ORGAN RUCHU METODYSTYCZNEGO

Motto: „OBRAŁEM DROGĘ PRAWDY Psalm 119

TREŚĆ ZESZYTU: Rozważanie — A. Niemojewski: Skowronek — K. Najder: Ofiara — J. Kownacka: O samowychowaniu w duchu chrześcijańskim — J. Naumiuk: Moja tułaczka — Cz. Kasprzykowski: Kilka uwag o sekciarzach i Kościele — Kolumna młodych — Rozmaitości.

KIELICH BŁOGOSŁAWIENSTWA, KTÓRY BŁOGOSŁAWIMY, IZALI NIE JEST SPOŁECZNOŚCIĄ KRWI CHRYSZTUSOWEJ? CHLEB, KTÓRY ŁAMIEMY, IZALI NIE JEST SPOŁECZNOŚCIĄ CIAŁA CHRYSZTUSOWEGO? (Pierwszy list do Koryntian X, 16).



Pamiętkę swej miłości ustanowił Chrystus w świętej Wieczery. W ciszy wieczoru spotkał się u stołu z zaufanymi przyjaciółmi, aby spożyć z nimi baranka wielkanocnego. To czyniono na pamiętkę cudownego wyzwolenia Izraela z niewoli egipskiej. Chrystus nadał tej uczcie głębsze i świętsze znaczenie. Tam spożywano chleb

udręki, który był pożywieniem ojców w Egipcie — tu chleb żywota, który karmi duszę niebiańskim pokarmem. Tam był kielich łez, które ojcowie wyplakali w twardej niewoli — tu krew Baranka bez winy, który gładzi grzech świata. Tam było wyzwolenie z hańbiącego poniżenia do wolności politycznej, — tu wybawienie spod jarzma grzechu i winy do wolności dzieł Bożych. Święta Wieczerza miała stać się środkiem do wewnętrznego, ścisłego zespolenia ze Zbawicielem, aby przezeń dostąpić pojednania z Najświętszym i Sprawiedliwym, od którego człowiek oczekiwał trwożliwie surowego sądu.

Miłość jest ta, która wszystko wiąże i jednoczy, z wszystkim się jedna i wszystko wybacza, wszystko prowadzi do świętego Pokoju. „JAKO MIĘ UMIŁOWAŁ OJCIEC, TAK I JA UMIŁOWAŁEM WAS; TRWAJCIEŻ W MIŁOŚCI MOJEJ. JEŚLI PRZYKAZANIA MOJE ZACHOWACIE, TRWAĆ BĘDZIECIE W MIŁOŚCI MOJEJ, JAKO I JA ZACHOWAŁEM PRZYKAZANIA OJCA MEGO I TRWAM W MIŁOŚCI JEGO. TO WAM POWIEDZIAŁEM, ABY WESELE MOJE W WAS TRWAŁO, A RADOŚĆ WASZA BYŁA ZUPEŁNA. TO JEST PRZYKAZANIE MOJE, ABYŚCIE SIĘ SPOŁECZNIE MIŁOWALI, JAKO I JA WAS UMIŁOWAŁEM. WIĘKSZEJ MIŁOŚCI NAD TĘ NIKT NIE MA, JEDYNIJE GDYBY KTO DUSZĘ SWOJĄ POŁOŻYŁ ZA PRZYJACIOŁY SWOJE” (Jan 15, 9--13). To była miłość, wyzwalająca świat, miłość obejmująca ludzkość całą, która poprowadziła Jezusa na Golgotę. Całe życie Jego było wiernym, pełnym błogosławieństw miłowaniem, niez mordowanym działaniem dla zbawienia ludzkości, ustawiczną służbą dla obciążonych i spracowanych. Lecz teraz, kiedy uczynił wszystko, co uważał za swe powołanie, wszystko aż do śmierci krzyżowej — żąda od pozostałych, aby żyli po jego odejściu we wzajemnej miłości. Wieczna społeczność ma być nawiązana i utrzymana pomiędzy Synem Bożym i umiłowaną tak przezeń ludzkością. Jego samego mają przyjmować wierzący, pożywając chleb i wino. Jego istotę, ducha przejąć mamy w siebie, abyśmy już nie my żyli, lecz aby żył w nas Chrystus.

O przyjdź do nas, Panie, przy Świętej Wieczerzy, posil nasze dusze, pokrzep serca najściślejszą, wewnętrzną społecznością z Tobą. Skoro Ciebie mamy Panie — wszystko jest nasze.

## SKOWRONEK

Z pól ryżowych wyfrunęła szara ptaszyna i ćwierkając niekiedy, bujała w powietrzu blisko ziemi, wznosząc się i opadając naprzemian. Skrzydełka jej drżały, wzbudzając fale w przejrzystym przestworze. Słońce jaśniało na niebie minąwszy wyżynę południa.



Błękit był czysty, bez chmurki, bez jednej plamki mgły. W dole rozchodziły się wonie. Ptaszyna zatoczyła kilka kręgów, milkła, ćwierkała i znowu milkła. Duszo jej było jeszcze przy ziemi. Kilkakrotnie rozpostarła skrzydełka, szybując kołem. Nagle wywinęła dziób w górę i strzeliła pod niebo. Śpiew radosny dobył się z jej piersi pierzastej. Rozległo się urywane dzwonicie. Ale jeszcze głos jej nie zabrzmiał całą pełnią. Znowu zawisła w powietrzu na rozpostartych skrzydełkach i przymilkła.

Cisza była dokoła; głosy ziemi ginęły w dole. Nagle ptaszyna poczęła trzepotać skrzydełkami i unosić się po linii prostej do góry. Wtedy z jej piersi dobył się śpiew, któremu równego nie ma natura. Śpiew ten rósł w miarę tego, jak się ptaszyna wzbijała nad ziemię. A już z dołu najbliższy szmer nie dochodził, w górze zaś były same błękity. Ptaszyna znowu rozpostarła skrzydełka, zawisła w powietrzu i przymilkła. Słońce gorzało na niebie jak ogromna plama światłości, rozlewającej się na modrość sklepienia i roztopiającej go swym żarem. Ptaszyna poczęła znowu bić skrzydełkami w powietrze i wzbijać się prostopadle w górę. Z piersi jej dobywało się zawodzenie, śpiew, zachwyt, uniesienie. Dla oczu ziemian znikła już zupełnie i ludzie słyszeli tylko ów dziwny, piękny tajemniczy i tak za serce chwytający hymn tuż pod sklepieniem niebios.

Teraz ptaszyna była u szczytu swego wzlotu. Uniosła dziób w górę, rozpostarła skrzydełka i patrząc w niebo, dzwoniła swym głosikiem pieśń przestworzom i Temu, który nakrył je błękitami, a po tych błękitach przesuwają słońce, księżyc i gwiazdy. Dzwoniło ptaszę pieśń triumfalną, śpiewało natchnione, zachwycone, drżące z uniesienia. Raz jeszcze spróbowało wzbic się wyżej, aby zanućcić głośniej i resztę duszy w śpiew ten włożyć.

Ale na jej źrenice padła mgła omdlenia. Zaczynało brakować jej oddechu. Jeszcze ptaszę dzwoniło jak milknący srebrny dzwoneczek.

Cisza ogromna panowała w górze i w dole. Nagle ptaszyna umilkła i poczęła się skłaniać ku ziemi. Ogarnęła ją trwoża, bo na brzegu płomiennej tarczy słońca ukazała się czarna plama. Ptaszyna zachwiała się, zatrzepotała skrzydełkami, już nie mogła utrzymać się na wysokościach. Tymczasem przez powietrze poczęły padać smugi pomarańczowe, potem niebieskawe, wreszcie fioletowe. Ptaszyna obróciła raz jeszcze spojrzenie na słońce. Owa czarna plama znacznie urosła i pokrywała już dużą część tarczy świetlnej, która poczęła rudzić. Jęklive ćwierkanie dobyło się z piersi ptaszyny, zaczęła opadać ku ziemi, jak rzucony w głąb powietrzną kamień. Owiał ją wir, orzeźwił nieco; roztoczyła skrzydełka i zatrzymała się na czas jakiś, zataczając kręgi. Znowu spojrzała ku słońcu. Ogarnął ją lęk i poczęła drżeć. Albowiem czarna plama

rozszerzyła się i po chwili, niby czarny krążek, pokryła całe słońce; tylko grzywa promieni krwawo dygotała około tego czarnego krążka.

Ptaszyna straciła siłę w skrzydełkach, opadała ku ziemi w milczeniu, półprzytomna, drżąca, spotniała. I spadała długo, długo, aż uderzywszy o gęstsze fale powietrza, które wznosiły się nad ziemią, oparła się o nie skrzydełkami i sposobila się do zlotu w dół.

Obróciła tedy oczy ku ziemi i patrzyła między wzgórze, doliny, drzewa i strumienie. Wtedy przedstawił się jej dziwny widok.

Pod nią widniała w ciemnościach łysa góra, na której roilo się mrowie ludzkie. Niesłychana wrzawa biła w górę. Ptaszyna lękała się sfrunąć tam, aby kto na nią kamieniem nie rzucił i nie pojmał. Ale nagle rojowisko to poczęło się ruszać i zbiegać z góry. Wnet też już tylko kilka ludzkich punkcików widniało w dole. Ptaszyna sfrunęła niżej i znowu spojrzała. Wtedy oczom jej przedstawił się widok następujący: na szczycie łysej góry były rozpięte na bielejących słupach trzy ludzkie postacie. U stóp środkowego klęczało kilka niewiast, dwóch mężów i stał wojownik z włócznią. Zapatrzeni byli całkiem w postać wiszącą w pośrodku. Ptaszyna sfrunęła jeszcze niżej i popatrzyła znowu.

Człowiek rozpięty na środkowym słupie wznosił twarz w górę. Twarz ta była blada, pokryta połyskliwym potem i kroplami krwi, które ściekały przez oczy; rozchyliła posiniałe usta; na czole widniał cierniowy wieniec, którego kolce wpijały się głęboko, raniąc i krwawiąc głowę umęczoną. Twarz ta skierowała w niebo tak rozdierające spojrzenie, że ptaszyna zadrżała i poczęła opadać niżej.

Chwiała się już bliźutko nad głową męczonego. Uczuwała strach, ból, żal; serce jej biło gwałtownie. Ujrzała włócznię żołnierza i chciała już w dal odfrunąć. Ale w tej chwili spojrzenie jej padło znowu na tę twarz tak okropnie udęczoną. Więc poczęła żałośnie kwilić, zatrzepotała skrzydełkami, zawisła nad głową cierniem kaleczoną i schyliwszy dziób do czoła zlanego krwią, poczęła wrywać kolce, obskubywać ciernie i upuszczać je na ziemię, z ostatnią zaś gałązką w szponach wzbila się nieco w górę, kwiląc żałośnie.

W tej chwili owa czarna plama poczęła zsuwać się z tarczy słonecznej i jasność powracała na przestwory. Ptaszyna wyfrunęła w górę, wzbijając się wyżej i wyżej. Nie obracała już oczu ku ziemi, ale bijąc skrzydełkami o fale powietrza, głosiła niebiosom jakąś skargę, jakieś oburzenie, jakiś nieutulony żal, niosąc im wiadomość tego, co się na ziemi działo. Śpiew ptaszyny rósł i rozlegał się coraz wyżej. Już zaczynała niknąć dla oczu ziemian. Śpiew jej był tak przejmujący, że mimo odległości ludzie ze zdziwieniem oczy



w górę unosili, a kiedy ptaszyna całkiem znikła, jeszcze patrzyli, słuchali i podziwiali.

Ptaszyna wzbijała się wyżej i wyżej. W szponach trzymała ostatnią gałązkę wieńca cierniowego, śpiewając żałośnie.

I rozeszła się legenda między ludźmi, że ptaszyna ta, wzbiwszy się z ona gałązką cierniową w niebo, już nie wróciła na ziemię.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

## O F I A R A

SOKRATES W SWOJEJ METODZIE DOPROWADZAŁ DO POZNANIA SAMEGO SIEBIE. CHRYSZTUS PRZEZ POZNANIE ŚWIĘTEGO BOGA DOPROWADZA CZŁOWIEKA DO POCZUCIA WINY WOBEC BOGA. TO JEST DIAGNOZA, KTÓRĄ POSTAWIŁ CHOREJ LUDZKOŚCI: POCZUCIE WINY. TĘ SAMĄ DIAGNOZĘ POSTAWIŁ JUŻ PRZEDTEM STARY TESTAMENT A POTEM ŚW. PAWEŁ. TEGO NIE MA W ETYCE STAROŻYTNYCH I NIESTETY NIE MA TEŻ W ETYCE DZISIEJSZYCH CHRZEŚCIJAN, KTÓRZY NIE USIŁUJĄ POZNAĆ NAJGŁĘBSZYCH PRAW DIBLIJNYCH. U TAKICH CHRZEŚCIJAN OKŁAMAĆ PRZYJACIELA, NARUSZYĆ GROSZ PUBLICZNY, POPEŁNIĆ CUDZOŁÓSTWO — TO SĄ PRZYGDONE PRZYJEMNOSTKI, KTÓRE NIE NARUSZAJĄ SPOKOJU DUCHOWEGO. ZBYT CZUŁE SUMIENIE, ZACHOWYWANIE PRAW BIBLIJNYCH TO STARE, NIEPOTRZEBNE PRZEŻYTKI. A JEDNAK JEZUS, IDĄC W ŚLAD ZA STARYM TESTAMENTEM, POSTAWIŁ DIAGNOZĘ CHOREJ LUDZKOŚCI I SPEŁNIŁ SWOJĄ OFIARĘ JAKO EKSPIACJĘ ZA JEJ WINY. ZROZUMIE TO NAJLEPIEJ TEN, KTO POZNA Z JAKICH POBUDEK ŻYDZI SKŁADALI OFIARY. LEKARZ MUSI PRZEDĘ WSZYSTKIM POSTAWIĆ DIAGNOZĘ, A DOPIERO PO TYM MOŻE LECZYĆ CHOREGO. CHRYSZTUS, DAJĄC LUDZKOŚCI POZNANIE GRZECHU I POCZUCIE WINY WOBEC BOGA, LECZY JĄ PRZEZ SWĄ OFIARĘ EKSPIACYJNĄ NA KRZYŻU. BÓG JEST ŚWIĘTY. DROGA DO NIEGO PROWADZI JEDYNIĘ PRZEZ OBUDZONE SUMIENIE. W MOMENCIE SKRUCHY ZJAWIA SIĘ ZBAWCA — CHRYSZTUS, ABY POJEDNAĆ CZŁOWIEKA Z BOGIEM.

STOSUNEK BOGA DO LUDZI JEST STOSUNKIEM OJCA DO DZIECI. OJCIEC PRZEBACZA DZIECKU, ALE OJCIEC PONOSI KONSEKWENCJE GRZECHU DZIECKA, JEGO KŁAMSTWA, KRADZIEŻY, LEKKOMYŚLNOŚCI. KTO PONIÓSŁ KONSEKWENCJE GRZECHU MARNOTRAWNEGO SYNA? — BÓG W CHRYSZTUSIE PONIÓSŁ KONSEKWENCJE NASZEGO GRZECHU.

W NIEDOMÓWIENIACH NIEKTÓRYCH WSPÓŁCZESNYCH TEOLOGÓW SĄ OZNAKI DEKADENCJI. CHRYSZTUSA STAWIA SIĘ NIEKIEDY W RZĘDZIE TYLKO DZIAŁACZY SPOŁECZNYCH — A WÓWCZAS MOŻNA DOPATRYĆ SIĘ PEWNEJ ANALOGII MIĘDZY NIM A SOKRATESEM.

MY, KTÓRZY STOIMY NA GRUNCIE EWANGELII, O OFIERZE CHRYSZTUSA NIE MOŻEMY POWIEDZIEĆ NIC INNEGO POZA TYM, CO O NIEJ POWIEDZIAŁ SAM CHRYSZTUS I APOSTOŁOWIE.

KONSTANTYNAJDER

## MOJA TUŁACZKA PO EUROPIE

Na zaproszenie redakcji „DROGI” rev. Józef Naumiuk, pastor Kościoła Metodystycznego w Poznaniu, opisał swoje losy od powstania warszawskiego do końca wojny. Poniżej zamieszczamy część pierwszą wspomnień. — RED.)

„WSPOMINAĆ SOBIE BĘDĘ NA SPRAWY PAŃSKIE...” Psalm 77.12

Pamięć jest skarbem duszy. W niej bowiem zbierają się wszystkie nasze radości i smutki, bóle i rozkosze doświadczeń. W pamięci, dzięki dobroczynnej działalności czasu, bardzo często smutek przeradza się w błogosławieństwo, a radość zachowuje swoje pierwotne piękno. Są pewne rzeczy, o których nigdy nie zapominamy — pozostają one w naszej pamięci jako jasne światło, pomimo wielu ubiegłych lat. Obecność ich sprawia, że życie ludzkie zdobywa drogocenny skarb. Człowiek, który może poszczycić się taką zdobyczą w przeszłości, nie czuje się osamotniony w walce z teraźniejszością.

Takim mężem jest autor Psalmu 77. Doprowadził on do tego, że przeszłość składa hołd teraźniejszości. Świadomy swojej słabości zwraca się do skarbcza pamięci po pomoc i ratunek. Jego chwilowe doświadczenia są straszne: pozbawiony jest wszelkiej nadziei, serce drży ze strachu, że Bóg zapomniał o jego istnieniu. I oto wspomnienie tych lat, w których Bóg tak wyraźnie był przy nim, staje się dla niego kojącym balsamem. Ukazuje on nam ścieżki, po których poprzednio kroczył: Boski Pasterz karmił go „czasu swego”, gasił pragnienie nad brzegami „cichych wód”, a obecnie prowadzi poprzez „dolinę cienia śmierci” bolesnych doświadczeń, posilając wspomnianiem błogosławieństw lat ubiegłych. Odważny ten pieśniarz odświeża swą pamięć triumfami Opatrzności w historii jego ludu. Wylicza on cierpienia nie po to, aby smucić się, lecz aby przypomnieć miłosierdzie Pańskie. Tematem jego pieśni nie jest niewola Egipska, lecz droga przez Morze Czerwone. Nie jest to susza i pragnienie na puszczy, lecz chmury, które wylewają orzeźwiający strumień deszczu. Jest to cudowne działanie wiary, gdy nasze tragedie świadczą o Bożej miłości.

Pod takim kątem widzenia spoglądam na moją tułaczkę po Europie. Rozpoczęła się od powstania w Warszawie, gdzie sprawowałem urząd kaznodziej Zboru Metodystycznego im. Jana Wesley'a przy ul. Grzybowskiej 54. Entuzjazm mieszkańców Warszawy, którzy przystąpili do ostatecznego, jak się zdawało, rozrachunku z Niemcami, był tak wielki, że nie łatwo było wbrew niemu dochować wierności swemu Mistrzowi, który ostrzegwał Piotra: „Kto mie-



czem wojuje, ten od miecza ginie". Wierność Panu była w tych chwilach owocem ciężkich zmagañ wewnętrznych. Niebawem śmierć poczęła zbierać obfite żniwo na ulicach Stolicy. Pierwszą ofiarą na ul. Grzybowskiej była ośmnastoletnia łączniczka, która padła w sąsiedniej bramie ugodzona pociskiem karabinowym w serce. Pogrzeb odbył się w naszym ogrodzie, zamienionym na prowizoryczny cmentarz. Od tej chwili śmierć stała się naszym nieodłącznym towarzyszem. W kilka godzin później pogrzebaliśmy młodego powstańca, którego pierś została podziurawiona serią pocisków ciężkiego karabinu maszynowego.

Gdy Niemcy wprowadzili do akcji „tygrysy”, bombowce, ciężką artylerię, miotacze ognia i min, nie wiele mogło zdziałać bezprzykładne męstwo mężczyzn, kobiet i dzieci. Wróg posuwał się ustawicznie do środka miasta, paląc każdy dom bez względu na to, czy tam bronili się powstańcy, czy nie. Pod względem grozy widok płonącej Warszawy przewyższał Piekło Dantego.

Kaplica naszego Kościoła i moje mieszkanie mieściły się w nie dużej willi, zasłoniętej od strony atakujących Niemców czteropiętrowymi domami. Chroniło to nas przed ostrzałem „tygrysów”, nie zabezpieczało jednak przed lotnictwem, które sypało na nas masy bomb zapalających. Potrafiliśmy zawsze je unieszkodliwić, dzięki czynności współlokatorów.

Dnia 13 sierpnia kula armatnia trafiła w nasz dom i zawałiła schody, prowadzące do schronu. Pogasły lampy i świece, w piwnicy zapanowała ciemność. Płacz kobiet i krzyk dzieci przerażonych wybuchem pocisku stał się nie do zniesienia. Byliśmy pewni, że zostaliśmy żywcem pogrzebani. Dzięki przytomności umysłu i sile członka naszego Zboru, brata Józefa Osiejuka, Bóg wyprowadził nas z tego „dołu głębokiego” i dał do zrozumienia, że „nie chce śmierci grzesznika, ale aby się poprawił i żył”.

Dalsze wypadki potoczyły się bardzo szybko. Po krótkim pobycie w sąsiedniej wypalonej kamienicy wpadliśmy w ręce atakujących Niemców, którzy obrabowali nas z gotówki i poqnali na Wolę. Po spędzeniu koszmarnej nocy w kościele św. Stanisława i dwudniowym pobycie w Pruszkowie, załadowano nas do wagonów towarowych i odesłano do Niemiec. Podróż trwała trzy dni i trzy noce, bez wody i pokarmu. Zatrzymaliśmy się w Kamienicy (Chemnitz), gdzie był obóz przejściowy. Pierwszy raz w życiu zostałem odwyszawiony i solidnie pogrzyziony przez pluskwy, które z niecierpliwością czekały na świeży pokarm. Po kilku dniach nasi „chlebobawcy” podzielili nas na grupy i odesłali do pracy. Ja wraz z żoną zostałem przeznaczony do fabryki samolotów Heinkla w Oleśnicy (Oelsnitz, Vogtland). Pobyt w koszarach, gdzie trudno było zasnąć z powodu ogromnej ilości robactwa, dwunastogodzinny dzień

pracy i niedostateczne wyżywienie w szybkim tempie wyczerpywały organizm. Jediną pociechą było to, że pracowałem razem z żoną, co umożliwiło nam podtrzymać się wzajemnie na duchu. W krótkim jednak czasie dyrektor fabryki Schmidt pozazdrościł nam „szczęścia małżeńskiego” i pod pozorem otrzymanego rozkazu wysłał mnie do pracy przy okopach. Dzień mego wyjazdu stał się dniem rozpacz dla mnie i mojej żony. Po dwóch dniach podróży znalazłem się nad rzeką Mozela w wiosce Kauzem, pod ostrzałem artylerii amerykańskiej, w samym środku tzw. „wału zachodniego”.

Patrząc na góry i doliny, pokryte niezliczoną ilością okopów, zapór przeciwzołgowych i tysiącami bunkrów, zdawało się, że żadna moc ludzka nie jest w stanie zdobyć tych umocnień. Ostrzał artyleryjski i codzienne odwiedziny samolotów myśliwskich, które raz po raz brały nas na muszki swoich karabinów maszynowych, porównywaliśmy z goryczą do much, które postanowiły pożyć dobrze wypasionego wołu. Nędzne wyżywienie, na które składała się zupa z niedoogotowanej koniny i buraki, całodzienna praca w polu przy dwudziestostopniowym mrozie, nie ogrzewana stajnia jako mieszkanie, robactwo, osłabienie serca, brak wiadomości od żony i upierczywa wieść o nowej ofensywie niemieckiej doprowadziły mnie do takiego stanu, że zacząłem lamentować: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił”. Bóg jakby czekał na ten jęk duszy świadomej swej słabości i niedoli. Pierwsza pomoc Opatrzności nadeszła przez zbliżenie się do jednego z współtowarzyszy niedoli, Rosjanina. Trudno może będzie uwierzyć, że ja „Pastor”, jak mnie powszechnie nazywano, i Kuźniecowa, z przekonania komunista, wychowany w duchu ateistycznym, staliśmy się serdecznymi przyjaciółmi. Doszło do tego, że Iwan, pewnego dnia, kiedy szliśmy gawędząc do lasu po drzewo, aby je zamienić na stary chleb i resztki zupy w kuchni polowej, powiedział do mnie: „Pastor, gdyby wszyscy chrześcijanie byli tacy jak ty, ja zostałemby chrześcijaninem”. „A ja stałbym się komunista, gdyby wszyscy komuniści byli podobni do ciebie” — odparłem bez namysłu.

Iwan Kuźniecowa troszczył się o mnie jak matka o chore dziecko. Ileż razy Iwan „pobanił” — wykąpał mnie w parniku niemieckiego chłopca. Nic też dziwnego, że podczas naszego pożegnania, gdy Kuźniecowa wracał do Ojczyzny, z trudem powstrzymywałem się od łez. Tak mi było żal rozstać się z Iwanem Kuźniecowem.

Następnie ofensywa gen. Pattona była balsamem kojącym rany mego ducha. Ani wspaniałe bunkry, ani tysiące okopów, ani zapory przeciwzołgowe, ani zasieki z drutu kolczastego nie były w stanie powstrzymać nacierających Amerykanów. Gdy wyczułem, że godzina wyzwolenia się zbliża, porzuciłem kompanię, którą Niemcy zaczęły cofać w stronę Renu i uciekłem z trzema kolegami do lasu.



Na drugi dzień znaleźliśmy się pośród żołnierzy Patton'a. Czeka-  
liśmy na nich przez długie lata wojny. I oto pierwsze zetknięcie  
się z nimi rozczarowało mię okrutnie: jeden z moich „wybawców”  
odebrał mi zegarek, który ocalał w czasie warszawskiego powsta-  
nia. Dłuższy czas nie mogłem się uspokoić, ponieważ zapomniałem,  
że i najpiękniejsze stado może mieć jedną lub więcej parszywych  
owiec. Gdy później opowiadałem o tym amerykańskim oficerom,  
zaśmiewali się, mówiąc: „tak, tak i nasi rabują”.

Dzisiaj wiem, że wszystkie armie miały swych „zeglarmistrzów”.

JADWIGA KOWNACKA

## O samowychowaniu w duchu chrześcijańskim

„Bądźciez wy tedy doskonałymi jako i Ojciec wasz w niebiesiech  
doskonały jest”. Mat. V, 48.

Człowiek, ta najdoskonalsza istota stworzenia, sięgnął po war-  
tości Boże: po mądrość i wiedzę bezkresną, nieprzemijające w swym  
harmonijnym czarze piękno i moralną, wyższą nad bieg codzienności,  
treść życia. Ponad tym wszystkim postawił wieczne pytanie, nie  
rozwiązane dotychczas — o treść i zagadkę bytu. W realizacji tych  
tęsknot wytworzył wiedzę, sztukę, religię — te wartości, które zło-  
żyły się na tron i elementy naszej kultury, z której tak dumni je-  
steśmy i którą tak często uważamy za Boski odblask w naszych du-  
szach. Nie mniej jednak ten sam człowiek, osiągając szczyty du-  
cha, stanął wobec własnej, wewnętrznej tragedii: fizycznie tkwi  
w ziemskim bycie ze wszystkimi czuciami, impulsami i popędami  
pierwotniaka — a duchowo rwie się i tęskni do Boga, szukając w nim  
życia wiecznych, nieprzemijających wartości. O równowagę i zgodę  
trudno. Natura, przedziwnie nieustępliwa i konsekwentna w swych  
prawach, żąda swej należności i mści się za lekceważenie. Instynkty  
nasze gwarantują nam rozwój i zachowanie życia fizycznego, są  
mocne — a jest ich tak wiele, że współczesna psychologia nie może  
ich liczby ustalić. Ponad tym wszystkim dusza ludzka tęskni i szuka  
treści wiecznych, niezniszczalnych. Chrystus powiedział: „Szukajcie  
naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko będzie  
wam przydane” (Mat. VI, 33). Żyjąc w dwóch sferach — fizycznej  
i duchowej — stoimy w gąszczu życia ze wszystkimi jego okrutnymi  
prawami, to znów wyrzynamy się wzwyż w kornej modlitwie:  
„...przyjdź Królestwo Twoje...”. Ten dualizm istnienia potęguje roz-  
darcie, pogłębia tragizm człowieka w borykaniu się wewnętrznym.  
Życie otaczające nas, ludzkie sprawy to jeden wielki konglomerat,  
zlepek tego, co każdy z nas nosi w sobie: żądza posiadania, instykt

walki, ambicje wiecznie niezaspokojone — a jednocześnie pragnienie spokoju, ciszy wewnętrznej, prostego Bożego życia, tęsknoty do synostwa Bożego.

Potęzną siłą uderzającą w nas, jak rozhułkane fale o brzeg morski, jest to wszystko, co nas otacza, co tworzy nasze środowisko dnia codziennego, w którym musimy tkwić naszymi obowiązkami, radościami i troskami bieżących dni naszych. *N a s z a d u c h o w a i s t o t a z B o g a p o c z ę t a, n a s z a f i z y c z n a j e d n o s t k a i o t a c z a j ą c e n a s ś r o d o w i s k o — t o t r z y s i ł y, k s z t a ł t u j ą c e n a s w k a ż d y m m o m e n c i e ż y c i a.* One w każdej chwili stwarzają w nas proces „stawiania się”. „Stajemy się” wciąż, bez przerwy: wzrastamy w górę lub pogrążamy się w codzienności bytu fizycznego. Mimo na pozór skryzalizowanej naszej osobowości przez to ustawiczne stawianie się nasze innymi byliśmy wczoraj, innymi jesteśmy już dziś, innymi będziemy jutro, za rok... Wewnętrzne nasze ja to twór plastyczny, ulegający wpływom zarówno zewnętrznym jak i wewnętrznym. Każdy fakt z zewnątrz, każde drgnięcie uczuć, czy fala myśli, tworzą w nas nowe wartości, nowe treści. Stajemy się pełniejszymi, bogatszymi lub uboższymi, wewnętrznymi, lepszymi lub gorszymi, zależnie od tego, co przesącza się w głąb naszego ja. Krystalizujemy się ciągle, ustawicznie, nieświadomie, niekiedy świadomie. Tak szarpani, rozdarci a wiecznie krystalizujący się, mamy coś do powiedzenia. Mamy prawo do zajęcia postawy, stanowiska wewnętrznego, mamy prawo decyzji, a jest nim nasza wola. To prawo decyzji — to wytworzenie w nas samych wolą naszą psychicznego, moralnego filtra, który pomoże nam do odrzucania wpływów i czynników rujnujących nas moralnie, a przesączenie tego, co naszą etykę, wartość moralną budować w nas będzie.

Tym samym prawom samoobrony podlega i nasz organizm fizyczny: usuwa a przede wszystkim nie przyjmuje tego, co niszczy nasze tkanki, zagrażając życiu. To zjawisko idiosynkrazji trwa tak długo, jak długo istnieją żywotne siły organizmu. „Istotą człowieka, duchem jego, jaźnią — jest wola, jest ona człowiekiem samym. Czego człowiek chce i co czyni, tym się staje i tym jest. Uczucie, myśl — to stany powierzchownie przez mózg przeżywane; życiem ducha, jego historią są akty woli. Człowiek sam musi budować swe życie przez akt woli — to i tamto przyszłe życie. Nikt i nic wyręczyć go nie może, on musi stwarzać, sam siebie stwarzać” — mówi głęboki myśliciel i znawca duszy ludzkiej Władysław Dawid. I tak przez naszą wolę stwarzamy w sobie proces samowychowania. Słowa Chrystusa „bądźcie doskonałymi, jak Ojciec wasz w niebiesiach doskonałym jest” potwierdzają nam tę głęboką prawdę życia, wzywając naszą wolę do aktywnego, mocnego działania i zdecydowanej



wobec samych siebie postawy. Nie jest prawdą, że proces wychowania może być kiedykolwiek w nas ukończony. Wychowujemy się od pierwszego momentu życia po ostatnie nasze tchnienie. Wychowuje nas wszystko cokolwiek nas otacza, cokolwiek przeżywamy. Zespół rodziny, przyjaciół, kolegów, grupa społeczna, naród, państwo, warunki materialne, geograficzne, zdarzenia i burze dziejowe — to wszystko pozostawia w nas niezatarte ślady wychowawcze. Nasze radości i cierpienia, powodzenia i niedole, miłości i nienawiści, dobro i zło — to dłuta rzeźbiące nasz charakter, naszą osobowość, naszą etykę i moralność.

Naszą jednak sprawą, sprawą naszej woli jest wytworzenie w naszym ja dyspozycji gotowości przyjęcia lub odrzucenia tego, co nam szkodzi. Naszą osobistą sprawą jest zajęcie w naszej postawie samowychowawczej stanowiska chrześcijańskiego. Sam Chrystus zostawił nam wskazania — ten wspaniały, najwyższej miary wychowawca, wnikliwy psycholog, cudownie znający zarówno światłe jak i ciemne zakamarki naszej duszy. Naszą osobistą sprawą w samowychowaniu jest zrozumienie istoty i ducha chrześcijaństwa jako światła i siły, które mocą swą są w stanie kształtować w sposób pozytywny naszą osobowość, nasz charakter, harmonizując i scalając nas wewnątrz, lecząc rozdarcie psychiczne, spowodowane dwoistością naszej natury.

„Bądźcie doskonałymi...” mówi do nas Chrystus. Stawia przed nami ideał doskonałości i nakazuje tę doskonałość osiągnąć nam samym, naszą wolą dobrą, gorącą i szczerą. Możemy śmiało twierdzić, że Chrystus podjął w stosunku do apostołów, uczniów i otaczających go rzesz przede wszystkim pracę wychowawczą, prostując kręgosłup moralności pojedynczej i społecznej i zdzierając zakłamanie z życia codziennego, tak troskliwie wyhodowane przez kapłanów i faryzeuszów. Proces samowychowania wskazany i zalecony przez Chrystusa trwa i trwać musi, jeśli ludzkość ma być zdrowa i zachować w ogóle własne istnienie. Chrystus akceptując wychowawcze stanowisko stoików wskazał nam tak osobistą jak i społeczną konieczność wyrabiania w sobie siły hamulców wewnętrznych, która jest jednym z najważniejszych warunków świadomego samowychowania w duchu chrześcijańskim.

Zrozumienie wychowawczego znaczenia chrześcijaństwa i w myśl tego zastosowanie wskazań ewangelicznych w każdej chwili naszego życia, konfrontowanie w naszej codzienności myśli i czynów naszych z nakazami Chrystusa, nieustanne czuwanie, by Ewangelia była pionem życia osobistego i społecznego — wszystko to stanowi treść i podstawę naszego świadomego samowychowania w duchu chrześcijańskim. To potrafi przeorać nasz charakter, przekształcić nas samych, a z nami oblicze naszego życia rodzinnego,

społecznego, politycznego, przekształcając w duchu chrześcijańskim oblicze świata. „Czego człowiek chce i co czyni — tym staje się i tym jest”.

Podajmy wszyscy — ja i ty — trud samowychowania w duchu chrześcijańskim, a słowa codziennej modlitwy „...przyjdź Królestwo Twoje...” zrealizują się w sercach i życiu naszym...

CZESŁAW KASPRZYKOWSKI

## **Kilka uwag o sekciarzach i kościele**

**(Tygodnikowi „Dziś i jutro” w odpowiedzi)**

W katolickim tygodniku społecznym „Dziś i jutro” w numerze 2 z dnia 12 stycznia 1947 r. w kolumnie „Tydzień kulturalny” pod tyt. „Z życia sekciarzy” podano do wiadomości w niezadowolonym tonie fakt połączenia Kościołów ewangelicko-reformowanego i metodystycznego. W chęci poniżenia nas powiedziano o nas — sekciarze.

Zastanówmy się nad znaczenie słów *sekta* i *sekciarze* w świetle Pisma św. Znajdziemy tam wyjaśnienie, że tak Saduceusze jak i Faryzeusze tworzyli sekty w łonie żydowskiego społeczeństwa. Popatrzmy do księgi Dziejów Apostolskich 5:17 i 15:5. Apostoł Paweł tłumacząc Żydom swe postępowanie powiada: „Według najdoskonalszej sekty nabożeństwa naszego żyłem będąc faryzeuszem”. (Dz. Ap. 26:5). On się nie tylko nie wstydzi, że należał do sekty, ale chlubi się tym.

Do sekty Saduceuszy należeli ci, którzy się uważali za najbardziej postępowych, jako napisano: „Albowiem Saduceuszowie mówią, iż nie ma zmartwychwstania ani anioła ani ducha”. (Dz. Ap. 23:8).

Czym wobec tego była wówczas sekta? Była to grupa ludzi — odłam społeczny — którzy należąc do całości wyznania Mojżeszowego różnili się w zapatrywaniach na pewne sprawy, jak Saduceusze i Faryzeusze, którzy gorliwiej od innych starali się przestrzegać przepisy Prawa Mojżeszowego. Należenie do sekty nie tylko nie było niczym poniżającym, lecz przeciwnie — było zaszczytem. Było dowodem, że ci ludzie są doskonalsi od całego otoczenia. Apostoł Paweł gdy pisał do chrześcijan w Filippi podkreślił, że według zakonu jest Faryzeuszem (Fil. 3:5) i nawet chlubił się tym, że nie tylko sam jest Faryzeuszem, ale i synem Faryzeusza (Dz. Ap. 23:6).

Pierwsi chrześcijanie, naśladowcy Chrystusa, są nazwani sektą i tak jest w Piśmie św. zanotowane: prokurator Tertullus, oskarżając Apostoła Pawła, mówi między innymi: „Albowiem znaleźliśmy tego męża zaraźliwego i wszczynającego rozruch między wszystkimi



Żydami po wszystkim świecie i herszta tej sekty Nazarejczyków". (Dz. Ap. 24:5, 28:22).

Chrześcijaństwo wywodzi się z narodu żydowskiego i religii Mojżeszowej. Było sektą, czyli grupą ludzi, lub odłamem, doskonalszym od całości tegoż narodu i jego wyznania. Z tego punktu widzenia całe chrześcijaństwo jest sektą, a Kościół rzymsko-katolicki, będąc jego częścią, jest także sektą.

To jest biblijne zrozumienie wyrazu sekta.

Stopniowo znaczenie wyrazu sekta uległo zmianie i w obecnym czasie pod słowem sekta, sekciarz, sekciarstwo, rozumie się fanatyków pewnego kierunku, a przede wszystkim fanatyków religijnych. Zastanówmy się tedy, czy z tego punktu widzenia nie jesteśmy sektą.

Sekciarz — fanatyk religijny twierdzi: „my jesteśmy najlepsi, najdoskonalsi, nikt nie posiada prawdy, tylko my; poza nami nie ma zbawienia, kto do nas nie należy, zbawiony nie będzie; my jesteśmy w światłości — poza nami ciemność...” itp. Kościół rzymsko-katolicki pogardza wszystkimi innymi, ma ich za nic, a nawet nie nawidzi tych, którzy mają inne zdanie i zapatrywania, tych, co Kościoła rzymsko-katolickiego nie uznają. I ten artykuł, o którym mówimy, był napisany z chęcią poniżenia nas, a wykazania swej wyższości. Czy takie stanowisko nie jest sekciarstwem? Zaiste tak! Kościół rzymsko-katolicki jest sektą w najbardziej ujemnym tego słowa znaczeniu. Do niego można śmiało stosować słowa Chrystusa: „A tak z owoców ich poznacie je”. (Mat. 7:20) oraz „...albowiem drzewo z owocu poznane bywa”. (Mat. 12:33). Owoce Kościoła rzymsko-katolickiego były i są kwaśne i gorzkie... Niosą w sobie śmierć, a on sam ocieka krwią świętych Pańskich, którą obficie przelewał. Jesteśmy pewni, że gdyby miał możliwość, czynił by to samo obecnie.

W tym samym artykule znajdujemy takie wypociny myślowe, podane w inteligenckim sosie: „z metodystycznego Pielgrzyma Polskiego dowiedzieliśmy się o zjednoczeniu „kościółów” ewangelicko-reformowanego i metodystycznego (dziwna mania upierania się przy terminie kościół, gdy się zwalcza kult świętych, od których kości wywodzi się słowo”). A więc według autora powyższych słów, od kości tych, których katolicy czczą jako świętych, pochodzi słowo Kościół. Wobec tego, że metodyści i ewangelicy reformowani nie uznają kultu świętych i ich kości przeto nie mogą się nazywać kościołem i dlatego słowo „kościółów”, odnoszące się do nas, autor zaopatrzył w cudzysłów.

Jeżeli tego rodzaju twierdzenie było by prawdą, tedy przed kultem świętych i ich kości nie było nie tylko kościoła, ale i nie znano słowa kościół. Wiadomo, że Żydzi nie uznawali i nie uznają kultu świętych, ani ich kości, a jednak Słowo Boże mówi o ich ko-

ściele. Dawid tak się modli: „W utrapieniu swoim wzywałem Pana a do Boga mego wołałem i wysłuchał z kościoła swego głos mój, a wołanie moje przyszło do uszów Jego”. (2 Sam. 22:7). „Ale ja w obfitości miłosierdzia Twego wejść do domu Twego, a pokłonię się w kościele Twoim świętym, w bojaźni Twojej”. (Ps. 5:8). „Głos grzmotu słyszany będzie, głos z kościoła, głos Pana oddawającego zapłatę nieprzyjaciołom swoim”. (Izaj. 66:6 itd.). W okresie pisania ksiąg Nowego Testamentu nie było kultu świętych ani kości ich, nie było budynków kościelnych, a jednak był Kościół i używano słowa Kościół. W Piśmie św. w Starym Testamencie słowo kościół i kościelne użyte jest 57 razy, w Nowym Testamencie 130 razy. Z tego, cośmy podali powyżej, możemy zauważyć, jakimi niedorzecznymi i fałszywymi pojęciami napełniony jest umysł publicysty katolickiego tygodnika społecznego „Dzś i jutro”.

Słowa kościół Pismo św. używa w różnym zastosowaniu, zależnie od okoliczności — i postaramy się tu je zestawić:

1. Wyraz kościół użyty jest w zastosowaniu do domu modlitwy: „A gdy usłyszeli nieprzyjaciele Judy i Beniamina, iż lud, który przyszedł z pojmania, budowali kościół Panu Bogu Izraelskiemu...”. 1 Ezech. 4:1. „Tedy wszedł Jezus do kościoła Bożego i wygnał wszystkich sprzedawających i kupujących w kościele, a stoły tych, co pieniędzmi handlowali i stołki sprzedawających gołębie poprzewracał”. (Mat. 21:12).

2. Ciało Jezusa Chrystusa nazwane jest kościołem: „Odpowiadając Jezus, rzekł im: rozwalcie ten kościół, a we trzech dniach wystawię go. Rzekli tedy Żydzi: czterdzieści i sześć lat budowano ten kościół, a Ty go we trzech dniach wystawisz? Ale on mówił o kościele ciała swego”. (Jan 2:19—21).

3. Ciała poświęconych, wybranych Bożych, nazwane są kościołem Ducha św.: „Aż nie wiecie, iż ciało wasze jest kościołem Ducha Świętego, który w was jest, którego macie od Boga? a nie jesteście sami swoi”. (1 Kor. 6:19).

4. Każdy z poświęconych i wybranych Bożych jest nazwany kościołem: „Aż nie wiecie, iż kościołem Bożym jesteście, a Duch Boży mieszka w was? A jeżeli kto gwałci kościół Boży, tego Bóg skazi, albowiem kościół Boży święty jest, którym wy jesteście”. (1 Kor. 3:16—17).

5. Zbór lub zgromadzenie wierzących poświęconych Bogu nazwane jest kościołem: „...Kościółowi \*) Bożemu, który jest w Koryn-

\*) W Biblii Gdańskiej czytamy: „Zborowi Bożemu”. Jednak tekst grecki manuskryptu Watykańskiego N. 1209 w t. zw. „Diaglotticie” podaje to słowo w tym miejscu jak i w innych listach: kościół.



cie, poświęconym w Chrystusie Jezusie, powołanym świętym, ze wszystkimi, którzy wzywają imienia Pana naszego Jezusa Chrystusa na wszelkim miejscu ich i naszym". (1 Kor. 1:2). Prawie wszystkie listy apostoła Pawła są w ten sposób adresowane.

6. Wszyscy pozafiguralni pierworodni nazwani są kościołem: „Aleście przystąpili do Góry Sjon i do miasta Boga żywego, do Jerozalemu niebiańskiego i do niezliczonych tysięcy aniołów. Do walnego zgromadzenia i do Kościoła (zebrania) pierworodnych, którzy są spisani w niebie i do Boga, sędziego wszystkich, i do duchów sprawiedliwych i doskonałych". (Hebr. 12:22—23).

7. Mistyczne ciało Chrystusa — Jego małżonka — maluczkie stadko, lub powołani wybrani i wierni zwycięzcy, nazwani są kościołem, którego Chrystus jest głową: Obj. 19:7, Łuk. 12:32, „On (Jezus Chrystus) jest głową ciała, to jest kościoła, który jest początkiem i pierworodnym z umarłych, aby On między wszystkimi przodował" (Kol. 1:18). „Który (Paweł) się teraz raduje w doległościach moich dla was i dopełniam ostatków ucisków Chrystusowych na ciele moim za ciało Jego (Chrystusa), które jest kościołem". (Kol. 1, 24). „Mężowie miłujcie żony wasze jak i Chrystus umiłował kościół i wydał samego siebie zań; aby go poświęcił, oczyściwszy omyciem wody przez słowo. Aby go sobie wystawił chwalebny kościołem, nie mającym zmazy albo zmarszczki, albo czego takiego, ale był święty i bez nagany". (Ef. 5, 25—27).

Taka jest nauka Pisma św., a wszystko, co mu się sprzeciwia lub z nim nie jest w harmonii, nie jest nic warte. Z tego punktu widzenia nie tylko my, którzyśmy się połączyli, ale każda grupa chrześcijan, nie wyłączając rzymskich katolików, jest kościołem, jak wynika z punktu pierwszego i piątego. Natomiast nie ma takiej grupy na świecie, takiego kościoła, który mógłby powiedzieć o sobie, że jest tym, o którym mówi punkt szósty i siódmy. CI ZNANI SĄ TYLKO BOGU, A IMIONA ICH SĄ ZAPISANE W NIEBIESIECH.

Nie pomogą Kościołowi rzymsko-katolickiemu kości świętych, ani ich kult, który stał się zwykłym bałwochwalstwem. Nie pomogą stroje, przepych, tytuły, ani pycha. Jest on Kościołem takim, jak inne. W jednym tylko Kościół rzymsko-katolicki przewyższył inne: w bezlitosnym prześladowaniu innych; w przelewaniu krwi świętych Pańskich, w nietolerancji i wobec ludzi, którzy go nie uznawali. Z tego, jeżeli może, niechaj się chlubi. W tych „świętobliwych" wyczynach nikt mu z nas nie dorówna. W tym ma bezwzględne pierwszeństwo i o to się sprzeczać nie będziemy — panie publicysto z tygodnika „Dziś i jutro".

# ROZMAITOŚCI

W tygodniku metodystycznym „THE CHRISTIAN ADVOCATE” wydawanym w Chicago, z dnia 17 października 1946 r. czytamy list prezydenta Trumana do pastora Dr Nall'a przewodniczącego Zjednoczenia prasy protestanckiej, wystosowany z okazji miesiąca prasowego, który w nawiązaniu do początku reformacji przypada na miesiąc październik każdego roku. Poniżej zamieszczamy tekst listu w polskim przekładzie:

BIAŁY DOM, \*WASZYNGTON

Drogi doktorze Nall:

ufam szczerze, że uroczystość miesiąca prasy protestanckiej w październiku da wynik w postaci ożywienia naszej oceny duchowych wartości w życiu amerykańskim.

Pragnę tu powtórzyć to, co powiedziałem wcześniej, że największą potrzebą kraju dziś jest ożywienie ducha religijnego. Świat przeszedł przez okres, w którym siły zła walczyły o zniszczenie wolności sumienia i wszelkiej wolności, w której spoczywa nasze szczęście jako narodu.

Te złe siły zostały pokonane i dziś jesteśmy ludźmi wolnymi, cieszącymi się jednością indywidualnej wolności w demokracji. Osiągnęliśmy zwycięstwo niezmiernym kosztem i możemy zachować naszą drogą wolność, obejmującą wolność sumienia, jedynie przez ustawiczną czujność. Musimy mieć zawsze w pamięci wspomnienie protoka Micheasza: „...czego Pan chce od ciebie — tylko abyś czynił sprawiedliwość a miłował miłosierdzie i pokornie chodził z Bogiem twoim”.

Pański w szczerości  
HARRY TRUMAN

W jednej z gmin wiejskich w stanie Indiana ludność zorganizowała bazar, przeznaczając dochód z tej imprezy na pomoc dla Polski. W oznaczonym dniu poczęli się gromadzić ludzie różnymi środkami komunikacji, przywożąc na bazar siano, owies, konie, wózki dziecinne, instrumenty muzyczne, wirówki, masło, jaja itp. Na licytacji największe powodzenie miała zwyczajna koza, którą sprzedano za 135 dolarów. Ogólny dochód z imprezy przyniósł 10 tys. dolarów. Za tę sumę zakupiono żywność i przeznaczono ją dla Polski. Tamtejszy pastor metodystyczny tak pisze o tym: „... mężczyźni i kobiety tej gminy amerykańskiej, żyjący w większym dostatku obecnie niż dawniej, byli zaniepokojeni tym, że są inne zakątki świata nie tak szczęśliwe. Ci ludzie, na pozór tak podobni do innych współmieszkańców Ameryki, różnią się jednak od wielu tym, że odczuwają w sumieniu nakaz pomagania cierpiącym. Wartość pieniężna tego daru nie była wielka, lecz mierząc ją uczuciem, trzeba przyznać, że była droższa niż złoto. Dla ludzi głodnych w Polsce dar ten miał należytą wymowę”.

CENA ZESZYTU — 5 zŁ

WYDAWCA: KOŚCIÓŁ METODYSTYCZNY w R. P. REDAKTOR: WITOLD BENEDYKTOWICZ  
ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, UL. STRADOM 11/21